

Redaktor naczelny TADEUSZ SWIĘCICKI
Prenumerata miesięczna: z przesyłką pocztową lub dostawą do domu: 4,000.000 Mkp. — Zagranicą podwójnie. — W Ameryce rocznie 12 dolarów, półrocznie 6 dol.
CENY OGŁOSZEŃ: W części inseratowej na ostatniej stronie za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 15 groszy — cała kolumna Złp. 200·— pół kolumny Złp. 100·— 1/4 kolumny Złp. 55·— 1/8 kolumny Złp. 30·— 1/16 kolumny Złp. 20·—. W części redakcyjnej za 1 wiersz milim. jednoszpaltowy 40 groszy — cała kolumna Złp. 300·— 1/2 kolumny Złp. 160·— 1/4 kolumny Złp. 75·— 1/8 kolumny Złp. 40·— 1/16 kolumny Złp. 25·—. Układ tabelaryczny 50 % drożej. Ogłoszenia zagraniczne 100 % drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce należytość za klisze według cen bieżących obecnie 15 gr. za centm.² Ogłoszenia kolor. 100% drożej. Ceny ogłoszeń w Złotych polskich obliczonych po urzędowym kursie Franka złotego.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie. Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 1,000.000 Marek.

Rok XXI. Kraków, 5 kwietnia 1924. Nr. 14.

Klęska powodzi w Polsce



Czerniaków — podmiejska wieś Warszawy ofiarą żywiołu. Zrozpaczona ludność ratuje siebie i dobytek przed zagładą.




Powódź w Warszawie:

Wojsko i akademicy zorganizowali dowóz żywności łodziami dla odciętych przez powódź.

Domki podmiejskie oddalone o kilometr od normalnego łożyska rzeki, zalane przez wodę.

Fot. Sarjusz Wolski, Warszawa.

Klęska powodzi w Polsce.

Straszliwy najazd wód jaki nawiedził w bieżącym roku naszą ziemię stał się klęską prawdziwie żywiołową. Nasza stara, poczciwa Wisła, przez cały rok prawie cicho i spokojnie tocząca swoje fale wezbrała gniewem, urosła, spotworniała do rozmiarów jakiegoś groźnego, pożerającego wszystko podwawelskiego smoka i prawdziwą niszczącą lawiną runęła na nasze miasta i sioła. Warszawa bodaj czy nie najciężej została dotknięta katastrofą,

Cały szeroki na 3—5 km. pas ziemi ciągnący się wzdłuż Wisły od Warszawy aż do Włocławka jest zalany. Pod Modlinem użyto ciężkiej artylerji do rozbijania zatorów lodowych, wstrzymujących naturalny bieg wody i grożących tem samem straszną katastrofą rozlewu.

We Włocławku poziom wody podniósł się o trzy metry. Samo miasto zaledwie zdołano uratować od klęski. Wiele budynków poczyna się tam walić, a nagłe wtargnięcia wody przez bezsilną już tamę pozbawiło życia wielu ludzi nagle przez falę zaskoczonych,

W Toruniu mimo rozpaczliwych wysiłków wojska linjowego, saperów i władz cywilnych woda wylała się przez wały wdzierając się na nizinę Ciechocinka.

W obrębie dyrekcji gdańskiej pociągi przechodzą przez wodę. Ruch kolejowy wprawdzie utrzymany. ale odbywa się z największymi ostrożnościami, przodem zaś przed każdym pociągiem wysyła się w awangardzie lokomotywy.

Na linji Warszawa—Lwów komunikacja kolejowa nie istnieje wcale, gdyż nasypy miejscami są zupełnie zniszczone. A nietylko królewska Wisła, ale i mniejsze nasze rzeki zbuntowały się na dobre. San, Dniestr, Prut i Narew wystąpiły równie gwałtownie z brzegów. Wiele mostów zostało zerwanych, tory podmyte, komunikacja wszędzie utrudniona, lub uniemożliwiona zupełnie. Wspaniały widok przedstawia kra płynąca szeroką ławą. Majestatyczne zwały lodów z hukiem i szumem przewalają się po Wiśle, mętne fale z głuchym łoskotem toczą się, jak olbrzymie walce niosąc w zawrotnych wirach szczątki domostw, progi kolejowe, dyle zburzonych mostów i żałosne okruchy porwanego okrutną łapą powodzi — ludzkiego dobytku. Ludność przeważnie z największem poświęceniem i narażeniem życia broni zagrożonych okolic umacniając tamy i naprawiając mosty.



Powódź w Warszawie: Zebrana na brzegu ludność oczekuje wiadomości od swoich najbliższych — odciętych od świata falami wezbranej Wisły. Fot. Sarjusz Wolski, Warszawa.

Echa ze stolicy.

Warszawa 4. kwietnia.

Warszawa zaczyna wierzyć Talesowi z Miletu, że zasadniczym żywiołem wszechbytu jest woda. Starożytną tę teorję odczuła stolica na własnej skórze, mając sporą połać miasta zalaną falami Wisły. Z początku nie brali Warszawianie powodzi tak bardzo na serjo. W dniu pękania lodu poszli sobie na bulwary i na most Kierbedzia niby na ciekawe widowisko wiosenne. Nawet dziwili się trochę, spotykając po drodze ostrożniejszych mieszkańców Nadwiśla, uchodzących w przewidywaniu klęski. Potem z satysfakcją przypatrywali się pękaniu i ruszeniu kry z niemałym hukiem i trzaskiem. A tymczasem zbliżała się katastrofa.

Przyszła ona tak niespodziewanie, że nawet czynniki kompetentne brały do ostatniej chwili w rachubę tylko zalanie bulwarów miejskich. Tymczasem olbrzymi zator lodowy, jaki utworzył się pod Jabłonną, spowodował podniesienie poziomu Wisły, które poczęło się cotać w górę rzeki i zbliżać szybko ku Warszawie. Taka była geneza klęski. Napierające fale szybko uporały się z wybrzeżem i bulwarami, znosząc budki strażnicze i domki nadbrzeżne, i natarły w głąb miasta, sięgając aż do koszar, położonych poniżej Zamku Królewskiego. Najwięcej jednak ucierpiała dzielnica Czerniakowska, gdzie woda zalała całe domy, zmuszając mieszkańców do szybkiej ucieczki. Komunikacja oczywiście wyłącznie na łodziach.

A miasto przebiegł jakby prąd elektryczny. Naprzeciw zagrażającej fali wody ruszyła rozgorączkowana fala ludzka. I to nietylko dla zaspokojenia ciekawości. Najrozmaitsze organizacje przyłączyły się szybko do akcji ratunkowej, kierowanej przez czynniki urzędowe, by nieść pomoc nieszczęsnym powodzianom. Zainicjowano też składki pieniężne. Ale wszystko to będzie kroplą w morzu tej naprawdę niebywałej klęski. *W.*



Ostatnie dni zimy w Krakowie: Widok Wawelu w nocy z mostu dębnickiego z ostatnim śniegiem kryjącym dachy, w dniach, kiedy Wisła ruszyła. (fot. amat p. St. Leo).





Profesor Józef Pankiewicz: 1) Pejzaż. 2) Willa.

Jan Rubczak.

Salony Krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych zapełnione zostały na kwiecień przez niebylejaką wystawę: przez wystawę, która imponuje



Prof. Józef Pankiewicz. Autoportret.

nietylko poszczególnemi dziełami ale przez ogólny, cały, bez wyjątków wysoki, imponujący poziom i zestrojenie. Jest to istotnie jedna z najpiękniejszych wystaw jakie w ostatnich latach Kraków oglądał. Najpiękniejszych i na najwyższym stopniu kultury artystycznej stojących. Stanowią ten zespół wystawców: prof. Pankiewicz, Rubczak, Zawadowski, Kissling, Hrynkowski i Heyden. — Właściwie możnaby powiedzieć prof. Pankiewicz i jego dawni uczniowie, malarze, którzy z jego szkoły wyszli, dróg własnych spróbowali i znaleźli je wszyscy, a z dawnym swym profesorem związani są jedną zasadniczą cechą: świadomością swych celów artystycznych, kulturą i wiedzą, oraz czysto malarskiem traktowaniem swych prac.

O prof. Pankiewiczu wspominaliśmy już w numerze poprzednim, zamieszczając reprodukcję obrazu jego, zakupionego przez rząd francuski dla muzeum Luxemburskiego. Dziś zamieszczamy fotografje dwuch obrazów, które na obecnej wystawie się znajdują, bez omówień i charakterystyk oraz zbytecznych, bo rozumiejących się same przez się i należnych superlatywów i tylko z jedną drobną uwagą: — Wszystkie krytyki i recenzje o profesorze Pankiewiczu (a i nasze wzmianki również) tak podkreślają jego niezwykłą kulturę, wiedzę i opanowanie formy, że mimowoli układa się z tego w konwencjonalnym rozumieniu postać artysty wyrafinowanego i nawet przerafinowanego, skąd krok jest tylko do bezdusznego wirtuozowstwa techniki. Otóż tylko to jedno dziś pragnąłbym podkreślić, że to byłby właśnie największy błąd i najfałszywsze ujęcie charakteru Pankiewicza. Bo to — co jego największą siłę i najcharakterystyczniejszy rys stanowi — to właśnie niezwykły splot mistrzowskiej techniki, opanowania najsubtelniejszych tajemnic linji, barwy i kompozycii, z przedziwną bezpośredniością i świeżością odczucia.

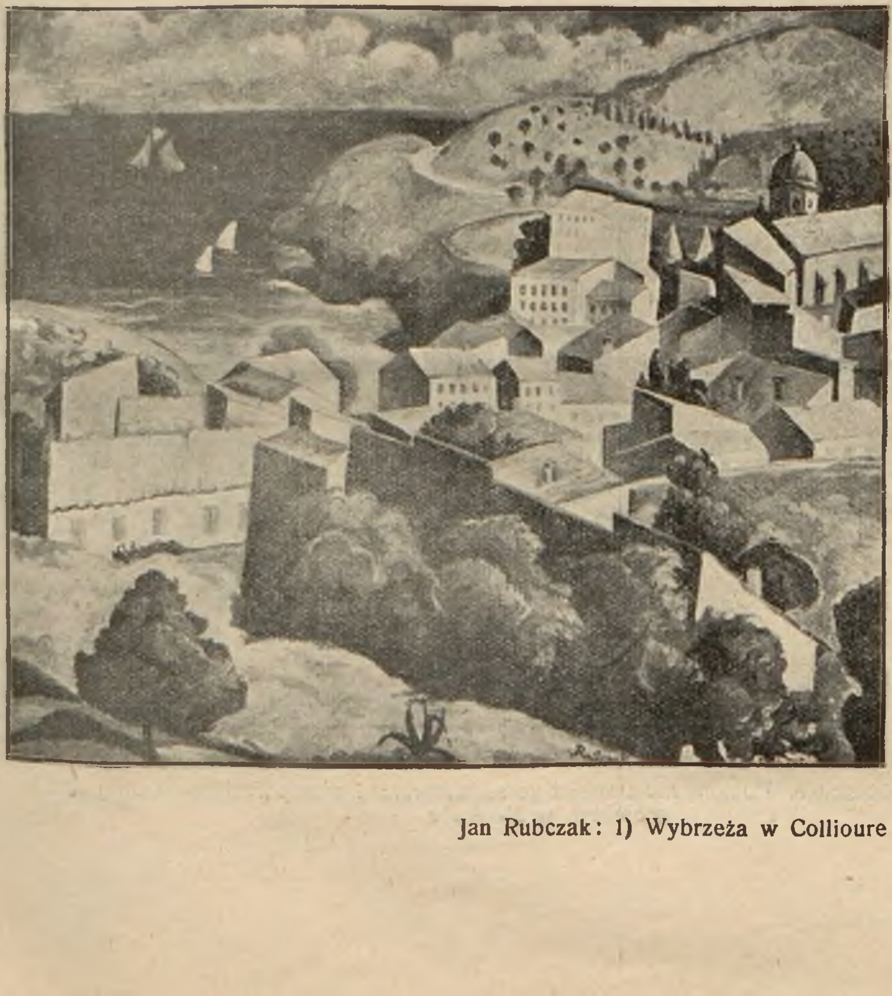
Wraz z reprodukcjami prof. Pankiewicza, podajemy — pomijając narazie iunych wystawców — trzy fotografje prac Jana Rubczaka. Z wieku mu i z urzędu to miejsce należy. Chociaż — co tam z wieku! — Przecież to człowiek młody. Młody zawsze, bujnością i niepohamowaną siłą żywiołową temperamentu swego i talentu.

Rubczak obok prof. Pankiewicza dał najpoważniejszy zbiór swych prac i to zbiór obejmujący



Jan Rubczak: Pejzaż z Collioure.

najszerszą skalę twórczości. Pamiętamy go w Krakowie z przed lat 15, gdy był już jednym z najtęższych grafików polskich. Dochodziły nas wieści z zagranicy o poważnym stanowisku, które zdobył sobie i tam w tej dziedzinie, i o „cyklach katedr francuskich“, które stały się głośne we Francji i zakupione zostały przez miasto Paryż. Aż tu na





Jan Rubczak: 1) Wybrzeża w Collioure w Pirenejach wsch. 2) Notre Dame de Paris.



Wręczenie listów wierzytelnych prezydentowi Związku Republik Sowieckich Kalininowi przez posła włoskiego hr. Manzoniego. Stoją Litwinow (1), Cziczerin, komisarz Spraw zagranicznych (2), hr. Manzoni (3).

wystawę obecną dał nam on tylko niewielką grupę swych kapitalnych akwafort, ale za to całą salę pejzaży olejnych. Tych prac Rubczaka nie widzieliśmy jeszcze w Krakowie i nie wiele o nich słyszeliśmy. Pisał o nim gdzieś w Paryżu Robert Rey i André Salmon, których krytykowi polskiemu czasem czytać wypada i trzeba, ale i ci krytycy, i ten malarz byli tak daleko... Wiedziało się tylko, że Rubczak w obozie młodych, (dziś już nieraz klasyków francuskich) wybitną rolę odgrywał, i że należał do jednego z wybitniejszych Cezannéistów. Aż tu Rubczak rzucił nam przed oczy całą salę swych prac i przytłoczył.

Prace te — to pejzaże, pejzaże w różnych zapewne malowane latach i różne odzwierciadlających kierunki. Ale związanych znowu, tak jak pod innym względem związana jest całość wystawy, kilku zasadniczemi cechami. Wyczytać z nich można niedwuznacznie i nieomylnie jedno: temperament i bujność żywiołową, która ma na swe usługi dłoń pewną i świadomą arkanów techniki. Ma bezpośredni, czysto malarski, pozbawiony wszelkiej literatury stosunek do świata. Jest człowiekiem żywym, pełnym życia i łączącym sztukę swą z życiem. Wszystko w sztuce jest życiem dla niego, wszystko w życiu umie przetopić na sztukę. Urodził się malarzem, dlatego musi nim być i nim jest. I to malarzem tęgim, o niezwykłej żywotności talentu.

Dobrze się stało, że do Krakowa wrócił. Lepiej by jeszcze było dla naszego życia artystycznego, aby w nim pozostał. I wierzymy, że się tak stanie, choć podobno rozgoryczony jest jakiemiś naiwnemi złośliwościami, zarzucającemi mu „niepolskość" jego sztuki i żądającemi, by malował tematy tylko ze swojskiego podwórka, (tak to zawsze bywa: w Paryżu podnosić będą słowiański i polski charakter jego twórczości — w Polsce powiedzą, że to... obce).

A w krakowskiej atmosferze artystycznej brak właśnie takich, którzy Zachód znają i nim żyli, a mają przytem temperament i rozmach żywy twórczości.

Poseł włoski na Kremlu.

Na terenie polityki wszechświatowej odbywa się dziś istny wyścig do mety, jaknajsilniejsze usadowienie się wpływów mocarstw europejskich w sowieckiej Rosji. Specjalnie Anglja i Włochy walczą o podbój pokojowy Rosji dla swojej ekspenzji. Włochy, które konsekwentnie i systematycznie zdążają do urzeczywistnienia swych wielkomocarstwowych celów i ambicji przez znaną politykę traktatów handlowych (której etapami są: traktat z Jugosławja, uzgadniający, tak rozbieżne dotąd interesy tych narodów, traktat z Czechami i Polską i udzielenie nam pożyczki w kwocie stu miljonów lirów) sięga obecnie po nowy atut: ugruntowanie swoich wpływów na Kremlu, w państwie „czerwonych carów". Zaiste dziwny i oryginalny to obraz: hr. Manzoni, poseł włoski, potomek starej. arystokratycznej rodziny, Cziczerin, rosyjski pan „błękitnej krwi" w służbie „czerwonego sztandaru" i Litwinow, typowy przedstawiciel obecnej proletarjackiei republiki w Rosji.

Rycina nasza przedstawia tych trzech panów, którzy po wręczeniu przez posła hr. Manzoniego listów wierzytelnych prez. Kalininowi ustawili się cierpliwie przed łakomem okiem aparatu reportera prasy, tej prasy która wszędzie się wśliznie, wszystko zfotografuje i zobaczy.

Dzień kobiet w Moskwie.

Straszliwy przewrót bolszewicki w Rosji przewartościowujący wszelkie dotychczasowe kategorje myślenie kast i miljonów szarych mas ludowych wyrwał też i kobietę rosyjską z pęt jej błachego, lekkomyślnego życia i ze skostniałych szablonów domowych ognisk, gdzie „ruska" mieszczka, czy żona bogatego, brodatego kupca raczyła swoich gości gorącym „czajem" z dymiącego, tulskiego samowara.

Krwawe instykty tłumów rozkiełznały się. W duszach rosyjskich kobiet destryktywne, drapieżne hasła bolszewizmu odbiły się głośnem echem. Widzieliśmy, że z furją bodaj czy nie większą nieraz niż mężczyźni rzucały się jak Erynje na „dobro" burżujów, depcąc zerwane z oficerskich kołnierzów szlify, i patrząc z chciwym, krwiożerczym zachwytem na masowe, okrutne egzekucje dokonywane przez zimnych chińskich najmitów na zwolennikach starego „regime'u". Widzieliśmy, jak same rzucały się w wir bratobójczej walki na kulomioty i bagnety „białej gwardji" i zasiadały w osławionych czerezwyczajkach, zawsze najchciwsze krwi, zawsze nielitościwe i żądne najsurowszych wyroków. Potem, gdy szał czerwonej pożogi przycichł i ustąpił miejsca łagodniejszemu pokojowemu okresowi bandażowania ran zadanych przez tę — ludową wojnę, widzimy je często na poważnych stanowiskach w najróżnorodniejszych, tak mnogich w sowieckiej Rosji komitetach i „rewkomach", jak pilne, niestrudzone pracownice komunistycznej idei, jako gorliwe bojownice propagandy, jako łączniki i awangardy trudnej wywiadowczej służby, a nawet, jak owa sławna p. Kołłątaj, poseł w Sztokholmie na ważnych posterunkach dyplomatycznych zagranicą.

Wogóle kobiety rosyjskie ocknęły się z długiego snu bezmyślnej apatji i lenistwa. Pracują, gromadzą się, radzą (co zresztą w państwie „rad" jest chorobą czasu), walczą o swoje prawa, stają u boku mężczyzn z podniesioną dumnie głową i wogóle biorą bardzo żywy udział w życiu publicznym. Czy to tylko chwilowy, histeryczny zapał rozegzaltowanych rewolucjonistek, czy też zapowiedź istotnych, fundamentalnych zmian w życiu rosyjskiej niewiasty, nie można nic o tem dotychczas powiedzieć.

Rycina nasza przedstawia jeden z wielu „dni kobiet" w Moskwie i całej Rosji często powtarzanych, w których kobiety w kapeluszach i chustkach, butach i podartych trzewikach wyległszy na ulice z rozwiniętemi sztandarami manifestują swoje zainteresowanie dla spraw publicznych.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem Piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkego l. 95.*



Dzień kobiet w Moskwie. Demonstracja kobiet ze szdandarami i transporentami w dniu zjazdu kobiecego w Moskwie.



JEJ CHŁOPIEC

OPOWIEŚĆ Z PUSTYNI ARABSKIEJ

NAPISAŁ T. M. NITTMAN. ILUSTRACJE ALFR. ŻMUDY.

4)

Więc mi troszkę smutno. W tym tygodniu spodziewamy się transportu karawany, mam nadzieję, że i mnie słów parę od ciebie przywiezie.

Tak chciałbym wiedzieć, co tam u nas w Polsce się dzieje? W Sączu, w Krakowie? Jakie stosunki? Jak się wam wiedzie? Co myślicie, co mówicie, na co czekacie? Chciałbym znać wasze radości i smutki!

A tu nic nie wiem. Od świata człowiek odcięty piaszczystem morzem wciąż na ten żółto-szary krąg ziemi patrzy, na to błękitne niebo, ciągle ze siebie zadowolone, na to słońce, co się panoszy takie upalne cały dzień Boży!

A nawet zieloność tutejsza, te trochę drzew i krzaków, takie sztywne, świecące jak wypolerowane, przypomina mi czasem owe wystrzyganki z szopki.

Już druga skóra zaczyna ze mnie złazić. Jestem brązowo czerwony, tylko powieki i czoło, przez daszek czapki ochronione, pozostały białe i śmiesznie odbijają od reszty. One jedynie świadczą o moim europejskim pochodzeniu.

Całuję ten list i przyciskam do piersi, byś czytając go czuła mnie, Mateńko! Chyba za miesiąc najpóźniej mieć go już będziesz?

A to się znajomi zdziwią, gdy im pokażesz ten świstek z tak daleka!

Hej! gdzie to nie zagnały twego jedynaka losy wojny?

„I znów do ciebie piszę, Matuchno! Karawana przybyła, ale listu twego nie ma.

Dlaczego, Kochańciu, dlaczego? Czy utonął po drodze w szafirowem morzu, czy zły adres podałaś? Mamo, ja tak czekam, ja tak tęsknię.

Parę słów bodaj, że zdrowa jesteś, że się nie martwisz zanadto... Moja Mamo!

My tu monotonnie dni spędzamy. Jeden taki jak drugi, wlecze się nudny i beznadziejny. Słońce pali, piasek złoty skrzy się. Tylko te zachody i wschody płomienne, purpurowe.

Tylko te gwiazdy nad głowami złociste, bez liku.

O wojnie prawie nic tu nie wiemy. To słowo dotychczas znaczy dla mnie „trud", „znój", „żar słońca", a nie jakieś bohaterskie bitwy, jak myślałem dawniej. Broń, którą noszę, zawadza mi tylko, tzw. „wrogów" niewidziałem dotąd.

Nie mogę bowiem powiedzieć tego o dwóch obdartych anglikach, których złapali Beduiny gdzieś w Pustyni, i tu na wielbłądach swych przywlekli, obdarłszy ich przedtem ze wszystkiego. Setki mil wytrzęśli się biedacy na siodle w słonecznym żarze, jeden z nich leży w ciężkiej gorączce.

Wypłacono Arabom po 100 piastrów za głowę ponoś, inaczej by im dawno nożem po gardle przejechali.

Arabowie! Dziwny lud — pełen sprzeczności. Z jednej strony stara kultura, a z drugiej pierwotna dzikość.



Serce matczyne czeka i tęskni...

Są uniżenie pokorni i dumni, naiwni i chytrzy, nikczemni i szlachetni zarazem.

Jeden z przybyłych — to ojciec moich małych przyjaciół „Cwała" i „Straszaka".

I zaraz zaczęły się awantury w ich brudnej chacie. — Ojciec spił się do nieprzytomności i cała rodzina uciekła w przestrachu w głąb zarośli.

Wódka, którą sprzedają im Niemcy w wojskowych kantynach, gubi ich. A szkoda! Taki dorodny typ ludzi! Oczy świecące, twarze piękne, nogi, ramiona jak ze stali. Tylko tacy niechlujni, tacy obdarci!

Anglików zamknęli w drewnianym baraku. Dziś nad ranem, stałem tam na warcie. Jeden z nich, ten zdrowszy poprosił mnie o trochę tytoniu. Mówi łamaną Niemczyzną.

I stąd zaczęła się znajomość. Rozmawialiśmy długo szeptem przez zakratowanę okno.

Nazywa się Tom Ilić i jest właściwie Serbem. Przed wielu laty, napadła na dom ich na macedońskim pograniczu banda „Komitadżi". Obejście całe spalili, ojca jego zabili, a on sam ledwo z życiem uszedł. O żebranem chlebie szedł przez cały Bałkan, aż do Grecji. W porcie Pireus dostał się na statek i przeszmuglował do Ameryki.

Tam powiodło mu się, zrobił pieniądze, ożenił się, założył dom, przyjął obywatelstwo kanadyjskie i zapomniał prawie mówić ojczystym językiem.

Ostatnio przed wojną pracował w tartaku u jakiegoś szwaba i nauczył się trochę po niemiecku.

Z mobilizacją poszedł do wojska i pułk jego od dwóch lat już jest w Azji.

Opowiadał mi dużo ciekawych rzeczy o Anglikach, o Ameryce — wiele rzeczy wyjaśniło mi się — niestety nie mogę ci tego napisać! Wogóle nie wiem czy ze względu na cenzurę, mogę ten list wysłać. Mam nadzieję jedynie, że na poczcie polowej nie rozumie nikt po polsku...

...Czasem, w ciche noce, dochodzą nas echa dalekich strzałów — to tam gdzieś, w pustyni potyczka arabskich, wrogich sobie szczepów.

Jedni biją się za niemieckie, drudzy za angielskie złoto. I oni to właściwie wojnę prowadzą o tę perłę wschodu: Bagdad i międzyrzecze Tygrysu i Eufratu.

Kończę, bo muszę znów na wartę...

I tak co kilkanaście dni wędrowała przez bezwodne obszary Jurkowa kartka lub list do odległej Polski.

Lecz po drodze, kościste palce szwabskiego pocztowca darły je z flegmą na kawałki. Spokojnie z lekkim sercem podczas gdy oczy wypełzłe, z za okularów błądziły po ciasnych szpaltach „Berliner Tagblatt'u" szukając wieści „aus der Heimat".

A berliński dziennik wysławiał „waleczną i niezwyciężoną“ armję niemiecką i jej „Kulturkampf in fernen Osten“.

Strzępy, strzępki żołnierskich, prostych słów ciężkim znojem wojennym pisanych roznosi, rozwiewa, roztrząsa wiatr pustynny po ciasnych uliczkach w dalekiem mieście Damaszku.

A jakieś drugie serce, serce matczyne czeka i tęskni, tęskni i czeka z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc ..

Twarzą do góry, z nawpół przymkniętemi powiekami, spał Jurek na piasku, kułak pod głowę podłożywszy W dłoniach ściska jeszcze kurczowo łopatę, którą grzebał w piasku z wieczora, w ciężkim trudzie. Aż zmęczony, gdy inni odeszli już na spoczynek, usnął w niedokończonych szańcach

Koledzy, sami ledwo stojąc na nogach, nie dostrzegli jego braku. I tak przycisnąwszy twarz do świeżo założonych aprosów. w wilgotnej ziemi, nad strumieniem, ostał się sam jeden, zapomniany. poza obrębem obozu

Zwolna stawał się coraz bardziej tępem stworzeniem roboczem, bezmyślnie przyjmującem strawę, które gdzie zlegnie, tam śpi

Ciężka służba i zabójczy klimat wyssały z niego zbyt młode siły.

Kapralskie łapy przydusiły go do ziemi. Ciągłe towarzystwo rubasznych kamratów, z którymi dogadać ani zbliżyć się nie umiał — dokonały reszty Tęsknoty i nadzieje gasły zwolna w tej codziennej monotonji żołnierskiej. Połyskliwa żądza przygód, junacza fantazja uciekły gdzieś, w głąb duszy. Jeszcze tylko przez sen wędrował dziwnemi drogami marzeń po swoje szczęście młode! Zachodził do małego domku w dalekiem rodzinnem mieście i pokrzepiony czarem wspomnień, skrzydła jak dawniej do lotu rozpinać próbował...

Też najmilej mu było, gdy spał. Gdziebądź, jakbądź, kiedybądź...

. . . .

Soldat! Soldat! – dokuczliwie brzęczał mu w uszach zduszony szept.

Co mu tam? Spał dalej.

I znów to samo rozpaczliwe wołanie.

Ktoś go niemiłosiernie targał za włosy, za ramię, za nogi, ciągnął za kurtkę.

Może to jednak kapral dyżurny?

– Może to naprawdę już trzeba wstawać? — zamajaczyło mu wpółsennie.

Całym wysiłkiem wytresowanej na „hab acht“ woli, zerwał się na równe nogi.

Szarzało.

W ołowiano-różowem świetle ujrzał tuż koło siebie dziwne maleństwo

Poznał...

To arabska jego przyjaciółka, w postrzępionej spodniczce, wymachiwała rozpaczliwie rękoma, a z sinych usteczek dziecka dobywał się niezrozumiały bełkot

Litość go wzięła patrzeć na zapłakaną twarz dziewczynki. Zrozumiał, że czegoś chce od niego. Począł nadsłuchiwać uważniej. Biedactwo! Chyba coś ważnego, że takie przerażone.

A ona ciągnęła go za rękaw w stronę wsi i wołała wciąż błagalnie:

- Soldat! Soldat!

Nie namyślając się dłużej ścisnął w garści silniej łopatę i poszedł, nie, pobiegł za nią by nadążyć szybkim choć drobnym jej kroczkom.

Wkrótce minęli gaj daktylowy i na skraju arabskiego osiedla...

— —

...Do pnia sykomory rzemieniem przywiązany jego miły towarzysz wędrówek po mrówczych szlakach wił się pod razami surowca, co spadały ze świstem z twardej ręki starego Araba na bose, pokrwawione stopy chłopczyny.

Pod nędznym namiotem czaiła się przelękła zgraja kobiet i dzieci, reszta rodziny.

Krew zakipiała w Jurku.

Zapominając gdzie jest, z kim mówi, wybuchnął:

– A psiakrew jedna! Puścisz go drabie?!

Chłopisko opuściło na chwilę harap i spojrzało groźnie na żołnierza przepitym wzrokiem.

A on krzyczał w pasji łamanym żargonem wojskowym, mieszając nieliczne, znane mu słowa tureckie.

Stary pojął o co chodzi.

— Ja ojciec! Wolno bić! Moje prawo! A ty won! Nie mieszać się do tego!

I znów podniósł straszny nahaj!

Jurkowi pociemniało w oczach i nie myśląc już więcej, huknął na odlew, łopatą w łeb, dumnego syna Wschodu.

Nawpół pijane chłopisko zatoczyło się i runęło w piasek.

A żołnierzyk bagnetem przeciął więzy kochanemu swemu „Cwałowi“ i wziąwszy na ręce wpół przytomnego z bólu chłopaka, odszedł z powrotem w las.

Pobity szejk, trzymając ręką opuchniętą gębę przykucnął jeno na ziemi, ale nie próbował więcej oporu. Jeno krwią podbiegłymi, nienawistnemi oczyma odprowadzał tych troje:

Jurka z brązowem ciałkiem zawieszonem bezwładnie u szyji i małą dziewczynkę wystraszoną, czepiającą się kurczowo żołnierskiego munduru, póki nie znikli za drzewami.

A nazajutrz pisał Jurek w liście do matki...

„..Pozatem bawię się w doktora. Mam bowiem pacjenta.

To ten mały chłopak, Arabczyk, o którym Ci pisałem już. Jego ojciec czy opiekun raczej, pobił go do krwi tak, iż chłopiec ma rany na stopach. To zwyczajna w tych stronach bastonada. – Ale chłopczyna nie mógł jeszcze znieść tych okrutnych razów. Wyrwałem go z rąk jego oprawcy i ukryłem go w gąszczu kaktusowym. Tam leży biedaczyna, a ja mu nogi okładam na spółkę z tą małą, co ją „Straszakiem“ przezwałem, odwarem z gotowanych mrówek i liśćmi z pomarańczy. Ona mnie tego nauczyła. Obecnie chłopiec ma się lepiej i jest nadzieja, że wkrótce przyjdzie całkiem do siebie.

Jak tylko mam wolny czas siedzę przy nim.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

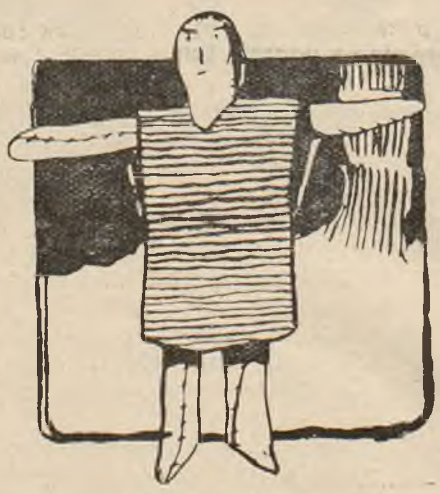
W bujnym gąszczu młodej zieleni ukryci siedzieli w trójkę na soczystej trawie.

„Cwał“ z obandażowanemi piętami chciwie maczał w zupie kawałki żołnierskiego cwibaku i połykał je z błogiem zadowoleniem na świecącej się od tłuszczu gębie, aż mu się trzęsła wygłodzona brzuszyna.

Kończył objad swego opiekuna.

A opodal Jurek majstrował coś koło starej swej koszuli. Dziewczynka stojąca przy nim, przyglądała się tej robocie z nabożnem skupieniem na umorusanej buzi.

Żołnierzyk niezgrabnie scyzorykiem przecinał płótno i szył dużemi ściegami grubej igły, kłując sobie przytem palce.



Wreszcie ukazał się gotowy kształt lalki.

Dziewczynka klasnęła w rączki z zachwytu.

Próbowała mu coś wytłumaczyć gardłowemi dźwiękami, ale niestety nie mogli się porozumieć.

„Cwał“ zjadł przez ten czas, obtarł usta rękoma i położył się na grzbiecie, również uważnie przypatrując się tej fabrykacji. Gdy siostrzyczka jego jednak zagłośno objawiała swą radość, krzyknął coś na nią po arabsku. Przestraszone dziecko umilkło i przykucnęło odrazu.

— Czemu krzyczysz na nią? — spytał go Jurek, wiedząc, że z nim łatwiej się dogada.

— Effendi! Kobieta milczeć, jak z mężczyzną mówić!

Ona chcieć pytać, czy to być żywy człowieczek?

— Wytłumacz jej, że to jest zabawka i że to robię dla niej!

— Dla niej? Szkoda robić! Dać płótno lepiej mnie, ja mieć z tego turban!

A mała kobietka przysłuchiwała się przez ten czas niespokojnie. Gdy jej zaś brat wytłumaczył, że ta lalka dla niej, padła na ziemię twarzą przed Jurkiem, a potem zerwała się tańcząc na jednej nodze i wrzeszcząc z całej siły.

— Co ona mówi?

— Ona mówić: Moja maleńka córeczka.

„Straszak“ chwyciła zaczętą kukłę i przytuliła do serduszka.

— Ależ zostaw, to jeszcze nie skończone!

Pustą formę napełnił piaskiem i zeszył.

A potem prymitywnie wymalował twarz chemicznym ołówkiem i kawałek ciemnego sukna przyszył w miejsce włosów.

Tak spreparowanego potworka wręczył uszczęśliwionej dziewczynce.

Ta nieśmiało wzięła na ręce laleczkę i patrzyła na nią oniemiała. W oczach stanęły łezki. A potem uciekła z nią w krzaki.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Jurek stał przy raporcie, w długim szeregu.

Sam pan Major nadchodził.

Żołnierskie postacie sprężyły się, głowy, jak nakręcone maszynki, rzucając w stronę chmurnie zmarszczonego komendanta.

Jednego po drugim załatwiano szybko.

Marod — nowe buty — dzień aresztu —

Nadeszła kolej na chłopca. A on nie wiedział dlaczego go wezwano. Stał i prosto patrzył w oczy dowódcy.

Major minął go, rzuciwszy słowo służbowemu sierżantowi:

— Później!

Cały raport odsalutował i rozszedł się do zwykłych zajęć.

Jedynie na ramieniu Jurka zaciężyła łapa feldfebla, który był postrachem całej kompanji.

Teraz więc zbladł, bo poczuł, że niedobrze.

A tamten wiódł go do kancelarji, do pokoju komendanta i zamknął drzwi baraku starannie za sobą.

Łysawy, opasły pan stał przed nim z ręką w kieszeni.

To major – pies! — przemknęło przez głowę chłopaka.

— To ty listy pisać na mnie?! — zaskrzeczał władca wojskowy.

A sukinsyn!

— Ja panie Majorze — próbował usprawiedliwić się Jurek.

— Stul pysk! — huknął feldfebel i twardą brudną pięścią uderzył go między oczy.

Aaaa! zamigotało boleśnie pod czaszką chłopięcia. Mnie, mnie — biją po twarzy!?...

Cała zdeptana, sponiewierana godność człowiecza, godność Polaka poderwała nim nagle.

Rzucił się, jak koń szlachetny cięty biczyskiem chamskiem.

A skrzeczący głos pienił się nad nim.

— Bij go jeszcze w mordę, zatracone polskie szczenie!

Drugi brutalny raz spadł znów na jego policzek.

Pod napuchłą powieką dojrzał zapłakaną, przerażoną twarz

— Potoś mnie na świat rodziła?

Schylił się przed trzecim ciosem, a następnie całym zamachem ramienia oddał katu swemu policzek.

(Dalszy ciąg nastąpi).

M. MC. DONNELL BODKIN.

STRZAŁ

1) Przekład z angielskiego.

Było to 12 sierpnia o godzinie drugiej popołudniu. Panował przygniatający upał. Młody, przystojny Eryk Neville, uśmiechnięty wesoło zszedł przez oszklone drzwi i żelazne schodki do starannie utrzymanego, staroświeckiego ogrodu, należącego do pałacu w Berkly. Miał na sobie śnieżno białe ubranie flanelowe, i szeroki kapelusz słomkowy junacko nasadzony na lśniące, czarne loki. Młodzieniec bowiem niedawno powrócił z przejażdżki czółnem po ocienionej przestrzeni rzeki, gdzie pozwolił się leniwie kołysać falom, czytając tymczasem książkę.

Ogród kwiatowy i sad leżały poza pałacem po stronie południowej i rozciągały się na dobrą milę. Zdawało się, że wielki dom stara się złapać tchu; wszystkie bowiem okna były na oścież otwarte, by wpuścić do środka powietrze, przepojone blaskiem słońca i aromatem kwiatów. Teraz Eryk doszedł do ostatniego stopnia schodów i wstąpił wytwornym brązowym bucikiem na wysypaną żwirem, szeroką ścieżkę. Około pięćdziesiąt kroków od niej ujrzał ogrodnika, zajętego przy szpalerach brzoskwiń; dym z jego fajeczki unosił się niby błękitnawy opar w rozedrganem, rozpalonem powietrzu. Eryk przystąpił do niego i wyciągnął tylko prosząco rękę, zbyt leniwy, by przemówić słowo.

Ogrodnik zerwał w milczeniu ze szpaleru wielką brzoskwinię, której czerwone rumieńce wyśledził wśród ciemnych liści i położył ją z czułą troskliwością na dłoni młodego człowieka. Eryk ściągnął aksamitną, różowo, brunatno i zielono zabarwioną skórkę tak, że wisiała strzępami dokoła soczystego owocu, i wpił ostre, białe zęby w miąższ dojrzałej brzoskwini.

Nagle huknął strzał.

Na odgłos strzału, który nagle zadudnił w ich uszach, jeden upuścił ze strachu na ziemię fajeczkę, drugi brzoskwinię i obaj spoglądali na siebie z przerażeniem.

— Niech pan patrzy, tam — szepnął ogrodnik, wskazując na małą chmurkę dymu, która powoli wysunęła się z okna prawie tuż ponad ich głowami przyczem w powietrzu rozszedł się silny zapach prochu.

— Pokój stryja! — krzyknął trwożnie Eryk. — Spał jeszcze mocno na kanapie, kiedy opuściłem go przed minutą.

Szybko obrócił się na pięcie, pobiegł pędem po ścieżce ku żelaznym schodkom i wpadł przez oszklone drzwi do domu. Stary ogrodnik biegł za nim, o ile mu na to pozwalała jego podagra. Eryk przebiegł z gwałtownym pośpiechem przez pokój mieszkalny, do którego prowadziły oszklone drzwi, popędził na górę po wyłożonych dywanem schodach, przeskakując naraz po cztery stopnie, potem skręcił na prawo dokoła rogu szerokiego korytarza i wszedł przez otwarte drzwi do gabinetu stryja.

Ale chociaż bardzo się spieszył, ubiegł go już ktoś inny. Wysoka, barczysta postać w jasnem ubraniu letniem stała pochylona nad kanapą, na której Eryk ledwie parę minut temu pozostawił śpiącego stryja. Szerokie plecy i kasztanowe włosy obecnego odrazu rzucały się w oczy.

— John — krzyknął Eryk — co się stało?

Stryjeczny brat odwrócił ku niemu swą piękną, męską twarz, z której uciekła wszystka krew.

— To zbyt okropne, Eryku — wyjąkał. — Stryj został zamordowany — zabity strzałem.

— Nie, nie, to zupełnie niemożliwe. Przed pięciu minutami leżał przecież jeszcze tutaj najspokojniej i spał... — zaczął Eryk, ale naraz, gdy wzrok jego padł na nieruchomą postać, zająknął się.

Baron Neville leżał twarzą do ściany tak, że widać było tylko jego ostry, surowy profil. Kula trafiła go poniżej czaszki, siwe włosy były zakrwawione i ciężkie krople padały jeszcze powoli na dywan.

— Ale, któż mógł... — wybąkał Eryk bez tchu; był prawie oniemiały z przerażenia.

— Musiała to być jego własna strzelba — odparł stryjeczny brat. — Leży tam na prawo na stole; z lufy wydobywał się jeszcze dym, kiedy wszedłem do pokoju.

— Przecież chyba sam nie podniósł ręki na siebie — szepnął Eryk, blady z przerażenia.

— To niemożliwe! Patrzajże — rana zadana w tył głowy.

— Ale stało się to tak okropnie nagle. Przybiegłem tutaj, usłyszawszy tylko strzał, ale ty przybyłeś jeszcze przedemną. Czy widziałeś kogo?

— Ani żywej duszy. Pokój był próżny.

— Jakże tedy mógł morderca umknąć?

— Może wyskoczył przez okno.

— Nie, tego nie zrobił, jaśnie panie — rozległ się od drzwi głos starego ogrodnika. — Stałem z panem Erykiem tuż pod oknem w chwili, kiedy padł strzał.

— Jakże w takim razie, do kata, zniknął, Simpsonie?

— Ano, tego już nie umiem powiedzieć.

John Neville obrzucił wzrokiem cały pokój. Nawet kot nie mógłby się w nim ukryć. Na ścianach wykładanych brązowym dębem wisiało kilka strzelb i wędek, bardzo kunsztownej fabrykacji i z najlepszego materjału, ale przeważnie staroświeckiej konstrukcji. Mała szafka na książki. w kącie wielka skórzana kanapa, na której leżał trup, ciężki okrągły stół w środku i kilka krzeseł o wysokich oparciach — oto było całe umeblowanie pokoju. Wszystkie meble były pokryte grubą warstwą kurzu, a wpoprzek przez pokój padał szeroki pas rozpalonego światła słonecznego. Wskutek gorąca i ostrego dymu prochowego w pokoju panował prawdziwy zaduch.

Gdy John Neville zauważył jak blady jest jego młodszy brat stryjeczny, położył mu troskliwie niby starszy brat rękę na ramieniu.

— Chodź Eryku, nasza obecność tutaj na nic się nie przyda.

— Czy nie byłoby lepiej rozglądnąć się pierwej, czy nie da się znaleźć żadnego wyjaśnienia — odparł Eryk, wyciągając rękę ku strzelbie. Ale John go powstrzymał.

— Nie, nie — zawołał pospiesznie — wszystko musi pozostać w takim stanie, w jakimeśmy znaleźli. Poszlę do wsi po Wardle'a, a równocześnie zatelegrafuję do Londynu, że potrzeba nam detektywa.

Potem z łagodną przemocą wyciągnął stryjecznego brata z pokoju, zamknął drzwi z zewnątrz i wsadził klucz do kieszeni.

— Kogo mam wezwać? — zawołał John Neville przy biurku, z ołówkiem w ręku do stryjecznego brata, który siedział przy stole bibljotecznym z twarzą ukrytą w dłoniach. — Musimy mieć człowieka oddanego, który całkowicie poświęci się tej sprawie.

— Nie znam żadnego... ale prawda — jak się nazywał ten człowiek, który znalazł opal księcia Southern? Beck, jeśli się nie mylę. Tak, to ten, Thornton Crescent W. 1 — to jest jego adres.

John Neville dołączył do napisanego już telegramu nazwisko i mieszkanie detektywa. Telegram brzmiał: „Proszę przybyć natychmiast. Morderstwo. Koszta obojętne. John Neville. Zamek Berkly Dorset".

— Choćby się nie wiedzieć jak spieszył, nie może przybyć przed północą — rzekł John Neville, kartkując rozkład jazdy. — Ale oto nadchodzi Wardle, ten przynajmniej zjawia się szybko na miejscu.

Strażnik miejscowy Wardle, który spiesznie nadchodził aleją, był mądrym małomównym człowiekiem około pięćdziesiątki, lecz pomimo to jeszcze silny i czerstwy. John Nevile przyjął go we drzwiach straszną wieścią, którą mu wysłany po niego foryś zdołał już poprzednio zakomunikować.

— Zrobił pan całkiem słusznie, zamykając pokój — rzekł Wardle, kiedy weszli do bibljoteki, gdzie wciąż jeszcze siedział Eryk, zatopiony w myślach, zdając się nie zauważać ich obecności. — A detektyw, do którego pan telegrafował, jest także człowiekiem odpowiednim. Już poprzednio miałem raz sposobność pracować z panem Beckiem. Jest przyjemny w obejściu i ma rzadkie szczęście. — „Tylko wszystko spokojnie, Wardle" — powiadał mi zawsze. — „Bez pośpiechu i niczego nie ruszać! Wszystko co stoi lub leży w pobliżu trupa ma przeważnie swą własną historję do opowiedzenia, jeżeli tylko ktoś umie słuchać. Dlatego najbardziej lubię pogawędzić sobie sam na sam z temi rzeczami".

Tak tedy konstabl Wardle milczał i zostawił wszystko nietknięte. Ale miał otwarte oczy i uszy, bo po całym domu przelatywały najrozmaitsze posłuchy. Szeptano tu, szeptano tam i ze wszystkiego, co mówiono sobie pocichu do ucha, układała się stopniowo całkowita historja. Niedługo obłok podejrzeń przyjął pewien oznaczony kształt; otaczał ze wszech stron Johna Ndville'a i zdawał się w jakiś niewytłumaczony sposób przenikać przez zamknięte drzwi bibljoteki. John zaczął niespokojnie chodzić tam i z powrotem po pokoju. Po pewnym czasie zabrakło mu tam powietrza i począł niecierpliwie chodzić z pokoju do pokoju — jużto schodził na dół po żelaznych schodkach, by patrzeć nieruchomo w okno stryja, jużto przechodził szerokim korytarzem mimo zamkniętych drzwi. Podczas tych wszystkich jego wędrówek umiał go Wardle pod pozorem zupełnego spokoju mieć bacznie na oku; ale John był zbyt zajęty własnemi myślami, by zwrócić na to uwagę.

Teraz wszedł znowu do bibljoteki, gdzie Eryk jeszcze ciągle siedział zwrócony plecami do drzwi tak, że tylko głowa wystawała mu ponad wysokie oparcie. Kiedy John położył mu lekko rękę na ramieniu, zerwał się z okrzykiem ze swego miejsca i patrzał na niego kredowo bladą twarzą.

— Chodź, Eryku, przejdziemy się razem po parku — rzekł John. — To próżne szukanie jest ponad moje siły; człowiek jest formalnie rozpięty na torturach.

— Jeżeli ci to nie zrobi różnicy, wolę tutaj pozostać — odparł Eryk znużonym głosem. — Zdaje mi się, że nie mogę poruszyć żadnym członkiem.

— Trochę świeżego powietrza dobrze-by ci zrobiło, biedny chłopcze. Widać po tobie jak źle się czujesz.

Eryk potrząsnął głową.

— No, w takim razie idę sam — rzekł John.

— Zostaw mi tutaj klucze, żebym je mógł dać detektywowi kiedy przyjedzie.

— Nie przybędzie przecież przed północą, a ja wrócę za godzinę.

Gdy John Neville kroczył szybko, nie oglądając się poza siebie, wzdłuż alei, Wardle szedł za nim zdaleka tak, iż miał go ciągle na oku.

Teraz młody człowiek skręcił do lasku, którego wyniosłe drzewa nie stały dość gęsto obok siebie, by bronić słońcu dostępu; jego blask padał szerokiemi smugami na ścieżki, wiodące pod zielonem sklepieniem liści. Kiedy Wardle przechodził między słońcem a Neville'm wpoprzek przez murawę, padł na jasną trawę jego długi, czarny cień. John spostrzegł cień poruszający się przed nim po ścieżce; obrócił się nagle wtył i stanął twarzą w twarz przez swym prześladowcą.

Konstabl stał jak skamieniały i patrzał na niego.

— No, Wardle, o cóż chodzi? Niechże pan nie stoi jak głupi. Prosto z mostu! Czego pan chce odemnie?

— Ano, widzi jaśnie pan — zaczął jąkać konstabl — ja sam w to nie wierzę. Znam przecież pana od dwudziestu jeden lat — od urodzenia — mógłbym bezmała powiedzieć i nie wierzę ani w jedno słowo. Ale obowiązek obowiązkiem; muszę go słuchać. Faktem jest, że pan miał wczoraj wieczór sprzeczkę z nieboszczykiem i pan Eryk zastał pana w pokoju, gdy...

John Neville słuchał to z początku zmieszany. Gdy potem nagle zaświtała mu w głowie po raz pierwszy możliwość, że to jego można podejrzewać o morderstwo, wybuchnął gwałtownym gniewem i groźnie zbliżył się do konstabla, od którego był wyższy o całą głowę. Wyglądał strasznie w szalonej wściekłości — ten barczysty, młody olbrzym; ścisnął pięści, krew jak młotem waliła mu w skronie, zęby miał zaciśnięte, a jego piwne oczy błyszczały niby dwa płomienie.

— Na co się pan waży? Jak pan śmie... — syknął ze stłumionym gniewem.

Ale Wardle wytrzymał spokojnie jego gniewny wzrok.

— To przecież jaśnie panu nic nie pomoże — przemówił łagodnym głosem. — Wiem, że to panu ciężko znieść. Ale ja temu nie winien i nic się przez to nie poprawi, że się pan tak przejmuje.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Chód „naokoło Warszawy“ czyli na dystansie około 13 km : 1) Zawodnicy ruszają od startu. 2) Zwycięzcy (od lewej do prawej) Szelestowski (Polonja) — czas 1 godz. 8 minut, Busiakiewicz — 1 godz. 9 ½ minuty i Zachmyc. 3) Zawodnicy pod zamkiem warszawskim fot. W. Rokosz (Warszawa).

Przed VIII-mą Olimpjadą.

Nowa próba sił, nowy przegląd sportowych hufców się zbliża. Na całym cywilizowanym Zachodzie wre i kipi praca, przygotowania są w toku, ambicje sportowe narodów europejskich i pozaeuropejskich czekają z niecierpliwością na tę wielką chwilę, które najtęższym ich zawodnikom przyniesie palmę pierwszeństwa.

Zdajemy sobie z tego jasno sprawę, że Polska nie powinna i nie może w tej defiladzie tężyzny społeczeństw pozostać na szarym końcu, o którym cicho i głucho. Prawda, że organizacja ruchu sportowego znajduje się u nas w stadjum początkowem dopiero, że brak gorliwego zainteresowania się społeczeństwa tym ruchem, a tem samem i funduszów koniecznych dla wyprowadzenia polskich drużyn sportowych na wszechświatową arenę, że wojna poczyniła wielkie luki i szkody w tej dziedzinie i trudno nam nawet osiągnąć stopień z przed lat dziesięciu, a cóż dopiero iść naprzód i nową pochlubić się zdobyczą. Mimo to jednak mamy wrażenie, że odpowiednie czynniki nie zasypiają sprawy. Zew ich, oby nie był głosem wołającego na puszczy. Są pewne oznaki, że społeczeństwo obudziło się już z letargu leniwego lekceważenia sprawy sportu. Coraz liczniejsze zbiórki i przedsięwzięcie, mające na celu zasilenie polskiego funduszu VIII-ej Olimpjady pozwalają nam się cieszyć nadzieją, że polski zawodnik wyruszający na Zachód, jako pionier sportowej ekspanzji naszego państwa nie będzie musiał walczyć z nieprzezwyciężonemi przeszkodami i zniechęcać się biernym oporem i apatją tych, których pomoc najwięcej tu zaważyć może.

Z nadchodzącą wiosną budzi się nasz rozmach narodu i przetrzebione kadry naszych sportowców poczynają wzrastać. Stowarzyszenia gimnastyczne, drużyny footballowe, kolarze i Związki lekkoatletyczne poczynają się ruszać. Nareszcie! Chodzi teraz tylko o mądrą organizację i rzetelną pracę w tym kierunku, a zobaczymy, że państwo polskie nie powstydzi się swoich zastępców na Olimpjadzie.

Z ostatnich poważniejszych wysiłków naszego sportu zanotować należy zawody narciarskie A. Z. S. na Babiej Górze, która (a z nią cały Beskid) jest idealnym terenem dla narciarzy. W tych trzydniowych zawodach zwycięzcą został znany książę polskich narciarzy Eugenjusz Kaliciński. Drugą ciekawą senzacją sportowych ubiegłych dni był „chód naokoło Warszawy“ w którym wzięło udział 44 zawodników. Pierwszy stanął u mety sierż. Szelestowski Stefan (K. S. Polonia) robiąc całą drogę w 1 godz. 8 minut i dochodząc w doskonałej formie. Po nim najlepszy czas osiągnęli sierż. Busiakiewicz (Szkoła Ofic.) i p. Zachmyc (Warszawianka). Ogółem skończyło chód bez zarzutu 36 zawodników. Należy podnieść z uznaniem wzorową organizację tego przedsięwzięcia i pocieszający objaw: duże zainteresowanie publiczności, które mimo szkaradnego błota i śniegu na ulicach gromadziła się licznie oklaskując hucznie swoich sportowców. Obyśmy w jaknajkrótszym czasie i jaknajwięcej tego rodzaju chwalebnych poczynań sportowych oglądać mogli.



Artystyczny plakat paryski zapowiadający 8-mą olimpjadę wykonany i nadesłany nam przez Franc. Komitet Olimpijski.





W raju narciarzy: Pilsko-szczyt sięgający w regjony kosodrzewiny. Skarłowaciałe smreki u kresów pasa leśnego tak wyglądały w marcu, darte wichrem i zasypane śniegiem. 2) Graniczna wieża triangulacyjna na szczycie Pilska, 3) Widok z Pilska w stronę Babiej góry, u stóp której leży wioska orawska Półgóra, odcięta obecnie od Polski Na pierwszym planie przełęcz graniczna Glinianki.

Devadâsî.

(Tancerka Sziwy).

W nadchodzącą sobotę dn. 5 kwietnia na deski teatru „Bagatela“ wchodzi „Rewja cenzuralna“ (nazwana tak ze względu na rewję poprzednia, która okazała się „niecenzuralną“).

Program tej rewji wypełni „Dewadâsi“ „historja z hinduskiej świątyni“ jednoaktówka pióra znanego literata krakowskiego p. Jaha Smiechowskiego, z muzyka p. Juljusza Leo.

Treścią owego poematu scenicznego jest tragedja *„Devadâsî“* (tancerki hinduskiej poświęconej bóstwu, która łamiąc prawa świątynne, pokochała europejczyka) Dzięki uprzejmości antora możemy dać czytelnikom naszym, uprzedzając jeszcze przedstawienie, dwa fragmenty z tego poematu. Jeden — to pełna niepokoju rozmowa uroczej devadâsî Szukli, bohaterki dramatu, ze starą Dayas, dozorczynią tancerek cyniczną, przekupioną już przez anglika — drugi — to rozmowa radży z owym anglikiem — lordem Baltimore, która jest introdukcją do mistrzyni świątynnego — tańca devadasi.

Fragmenty te dają już pojęcie o samym poemacie. Jeśli jeszcze zdradzimy tę zakulisową tajemnicę, że punktem kulminacyjnym przedstawienia będzie taniec solowy devadasi (p. Grabowskiej) przed posągiem Sziwy, oraz, że reżyserję prowadził p. Leopold Zbucki, a tańce ułożył baletmistrz p. Nowotarski — to niepotrzebujemy dodawać, że przedstawienie to musi wzbudzić żywe zainteresowanie w kołach krakowskich miłośników teatru.

Pozatem podajemy fotografje wspaniałych dekoracji projektowanych i wykonanych przez dekoratora Bagateli p. Karola Szara: „Wnętrze świątyni“ oparte na motywach świątyni w Radżputanie i ołtarz Sziwy, stanowią jedne z najpiękniejszych dekoracji, jakie ukazały się na scenie Bagateli i świadczą chlubnie o talencie artysty.

Szukla.

Dayas — poradź! — tyś mądra i stara,
oczy twoje już wiele widziały.
To jest przecież czyn bardzo zuchwały,
to jest grzech, za nim musi iść kara!

Dayas.

Kochasz?

Szukla.

Kocham i co robić nie wiem:
miłość w sercu mem błyska zarzewiem,
i wyciągam do niego ramiona
nocą, ze snu marzeniem zbudzona
i oddaję mu ciało stęskniona
wężowemi go sploty owijam,
w wargi jego gorące się wpijam,
jak pochodnia żywym ogniem płonę.
Dayas, winną jestem, bardzo winną.
Po co ja go w dzień owy ujrzałam?
Jam tancerką jest przecież świątynną
a już w sercu niegodną się stałam.

Dayas.

W sercu? no to jeszcze jest bardzo niewiele,
to nie znaczy bynajmniej na ciele!
Każdy szuka tam szczęścia gdzie może...
Czyż nie pachnie ci Anglika łoże?

Szukla.

A grzech?

Dayas.

E...

Szukla.

A Sziwa? Bramini?

Dayas (wzrusza ramionami).

Gdy nie zobaczą, co ci kto uczyni?

(Dayas wychodzi. Szukla stoi chwilę w zamyśleniu, następnie podchodzi do ołtarza Sziwy i poczyna się modlić. Modlitwie towarzyszy oddalona, cichutka pieśń wiolenczeli).

Szukla.

Łaski twej błagam Sziwo
ukaż mi jasne lice,
półmartwą i półżywą
widzisz mię błagalnicę.
Toć ja go wcale nie szukałam Panie,
Łaski o Sziwo!... łaski!...



Ołtarz Sziwy z posągiem bóstwa. Sziwy przedstawiony jest tak jak mozna go oglądać na ołtarzu w świątyni Elora. Na szyji ma wieniec z czaszek ludzkich i depce po ciałach umarłych.

Jak biały kwiat lotosu
nad rzeki głębią ciemną,
cieszy się z swego losu,
tak było przecież ze mną.
Świątynia była mi dobrą przystanią...
Łaski o Sziwo!... łaski!..
Jak wiatr jeziora szybę,
tak zmącił on mą duszę,
wziął mnie jak rybak rybę,
muszę go widzieć... muszę..
Boję się ciebie, a mówić z nim będę...
Łaski o Sziwo!... łaski!... (pozostaje chwilę na klęczkach, poczem wychodzi).

Wbiegają dwie Devadasi.

Devadasi I.

Słyszałaś, co jej Dayas mówiła?

Devadasi II.

One z dawna cicho z sobą radzą.
o czemś długie rozmowy prowądzą,
a dziś Szukla się potem modliła.

Devadasi I.

Ja wiem wszystko.

Devadasi II.

Więc o czem mówiły?

Devadasi I.

O człowieku co jest Szukli miły.

Devadasi II.

Kto to taki? Wszak ma Narottama.

Devadasi I.

To jest obcy.

Devadasi II.

Lecz kto?

Devadasi I.

Nie wiem sama...
dosłyszałam, że dzisiaj tu będzie.

— — — — — — — — — — —

Wchodzi Radża w towarzystwie lorda Baltimore.

Lord.

Radżo!... twe pożegnania aż nazbyt wspaniałe.
Nie zapomnę ci tego.

Radża.

Żegnam przyjaciela,
który oddał mi w życiu przysługi niemałe.
A z którym teraz zły los mnie rozdziela.
Gdy noga twa na ziemi angielskiej już stanie,
nie zapomnisz zbyt rychło, żeś był w Rabaganie.

Lord.

Nie zapomnę.

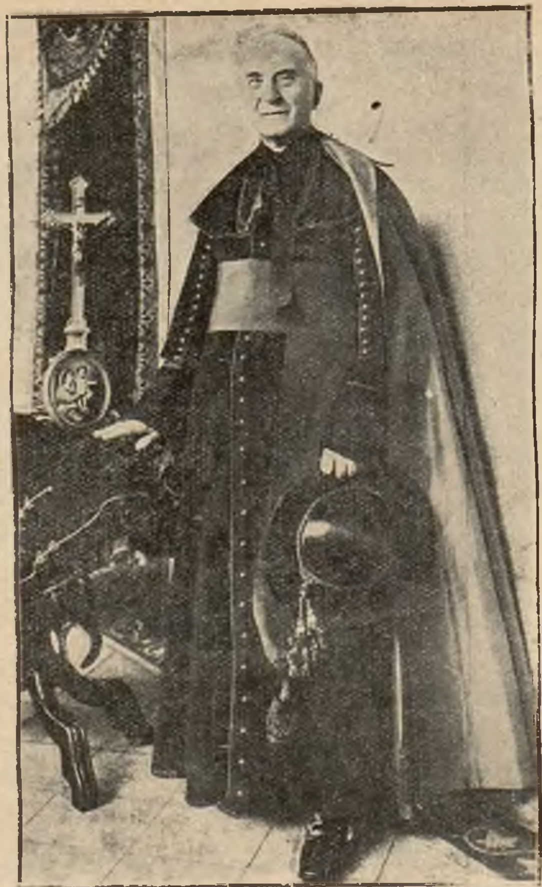
Radża.

A teraz... chciałeś widzieć Sziwę.
Oto stoi przed nami to bóstwo straszliwe,
jesteś tu, skąd niewierny żywy nie wychodzi.
Ty jeden... tobie widok Sziwy nie zaszkodzi,
w twoich oczach ofiara będzie dokonana,
Tak jak chciałeś.

Zaczekaj, odszukam kapłana.



Świątynia hinduska. Dekoracja do „Devadasi“ projektowana przez art. malarza p. Karola Szara, wykonana w pracowni teatru „Bagatela“, a aoparta na autentycznych motywach świątyni w Radżputanie.



Zgon zasłużonego pasterza: Ś. p. Józef Sebastjan Pelczar, biskup przemyski. (Fot. Michał Todt, Przemyśl).

Zgon biskupa Józefa Pelczara.

28 marca, o godz. 4 rano zmarł w 82 roku życia ks. biskup Józef Sebastjan Pelczar, czcigodny duszpasterz przemyski. Jeszcze niedawno w dniu 19. marca, w dniu który nam tylu sławnych i ważnych uwieńczył solenizantów, obchodził on srebrny jubileusz biskupi. Święto to społeczeństwo przemyskie i cała serdecznie i po polsku czująca ludność Wschodniej Małopolski obchodziła uroczyście i radośnie. Naprawdę tyle dowodów miłości, czci i uznania doznał wtedy ks. biskup Pelczar, że ostatnie chwile jego życia opromienił uśmiech szczerego zadowolenia i miłego przeświadczenia, że jego praca dla bliźnich — rodaków znalazła hołd i sprawiedliwą ocenę.

Józef Sebastjan Pelczar urodził się w Korsyni w 1842 r. Wyświęcony na kapłana w 1864, a mianowany biskupem 1900 r., byłby w roku bieżącym w lipcu obchodził też swój dostojny, bo aż 60-letni jubileusz kapłaństwa, gdyby śmierć nie była przecięła jego żywota. Był on przez lat 22 profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim, wydał wiele dzieł teologicznych i kaznodziejskich i położył wogóle bardzo wiele zasług na polu tak religijnego jak i patrjotycznego wychowywania swoich współziomków. Sławny kaznodzieja i mowca, umysł żywy i bystry, ruchliwy, zdolny organizator przygotował w tym roku IV. synod.

Przeziębił się prawdopodobnie podczas uroczystości jubileuszowych, poczem rozwinęło się silne i gwałtowne zapalenie płuc, które spowodowało śmierć tak nagłą. Być może, że i wzruszenia jubileuszowego święta przyczyniły się do tego, że osłabiony fizycznie i duchowo starzec nie przeżył nielitościwej choroby.

Pożegnanie generała Jędrzejewskiego.

Tylko żołnierz wolnego, suwerennego państwa, tylko nasz dzielny, wesoły, zdrowy żołnierz polski, który nareszcie z pod wstrętnej tyranji kondotjerów armji państw zaborczych dostał się pod rozkazy swoich polskich dowódcow może otoczyć ich tak goracą, tak piękną miłością i przywiązaniem, jakiem wiarusi VI. korpusu otaczają swojego ukochanego komendanta, gen. Władysława Jędrzejewskiego. Gen. Jędrzejewski dowódca VI-tego okręgu korpuśnego, bohater wielkiej wojny i wielu „polskich bitew" na naszym, tak obficie krwią zlanym wschodnim froncie przeszedł w stan spoczynku.

Stary „lew wojny", o marsowem obliczu i pysznej, rycerskiej postawie raz jeszcze zjawił się przed frontem swojej ukochanej dywizji, która tyle już razy w ogniu walk i w twardej pracy pokoju widziała go na swem czele. Ze łzami prawdziwego wzruszenia w oczach, żegnali go waleczni żołnierze, ze łzami w tych oczach, które pozostały suche i obojętne, gdy panika niebezpieczeństw, szaleństwo ofenzyw i odwrotów mroziło najśmielsze serca, gdy wokół poszarpane granatem i bagnetem waliły się na ziemię ciała nieszczęsnych kolegów, by już nie powstać więcej. Snać bardzo musieli go pokochać, bardzo musieli przylgnąć do swojego bohaterskiego dowódcy całą swoją twardą, żołnierską duszą i zamkniętem dla wzruszeń sercem jeżeli tyle żalu i tyle potężnego uczucia okazali mu w tym dniu pożegnania.



Gen. Bronisław Jędrzejowski, dowódca DOK. Lwów, którego Lwów wojskowy i cywilny żegnał serdecznie z powodu odejścia jego w stan spoczynku. (Fot. Jan Bieniecki, Lwów).



Jubileusz prezesa lwowskiej Izby rękodzielniczej Schirmera: Jubilat w gronie przedstawicieli społeczeństwa, którzy wzięli udział w uroczystym obchodzie jego jubileuszu. Fot. M. Münz, Lwów.

Już w wojnie rosyjsko - japońskiej pułkownik Jędrzejewski wykazał tyle hartu, tyle sprawności bojowej i wybitnych zdolności dowódcy w polu, że głowę jego uwieńczył laur szeregu wysokich odznaczeń.

Z wybuchem wojny światowej powierzono mu dowództwo brygady. W walkach pod Dęblinem, Warszawą i Łodzią, zajaśniał w całej pełni jego talent i wspaniała rycerska brawura. Za przełamanie niemieckiego frontu pod Łodzią otrzymuje złotą szablę i najwyższy order rosyjski z zakresu odznaczeń wojskowych.

Najświetniej rozwija się jego talent na rumuńskim froncie, gdzie na czele swojej dywizji w bitwie pod Amara w tylnej straży pobitych wojsk rumuńsko-rosyjskich ocala je przed zupełnem zniszcze-





Pożegnanie gen. Jędrzejowskiego we Lwowie:
Generał na koniu przyjmuje pożegnalną defiladę. Sztab DOK. Lwów wczasie pożegnalnej defilady.
(Fot. Jan Bieniecki, Lwów).



„Tajemnica białej twarzy". Urocza gwiazda filmu amerykańskiego Konstancja Talmadge (w chińskim stroju) z partnerem swym. Scena z filmu „Tajemica białej twarzy", który wchodzi na ekran „Uciechy".

niem. Król rumuński ozdabia wtedy pierś Jego krzyżem Michała Chrobrego.

W okresie rewolucji bolszewickiej schwytany i skazany na śmierć trzykrotnie unika egzekucji. Gdy życie jego na włosku już wisi wkraczają do Kijowa i oswabadzają go Niemcy. Odmawia im udziału w ekspedycjach Bermonda i Judenicza, bo całą duszą wyrywa się do służby polskiej sprawie. Czyny jego, jako jednego z najwybitniejszych oficerów armji polskich w okresie polsko-bolszewickiej wojny są nam aż nadto dobrze znane.

Dnia 22. marca b. r. o godz. 10 rano żegnał generał swoich żołnierzy. O godz. 11-tej na placu przed D. O. K. defilada wszystkich oddziałów VI. Okręgu. Przegląd trwał przeszło godzinę. Tłumy publiczności lwowskiej żegnały i hołd składały odchodzącemu w stan zasłużonego spoczynku obrońcy.

Jubileusz Prezesa Izby Rękodzielniczej p. Schirmera.

Ważną w dziejach swego istnienia uroczystość obchodziła w dniu 18 marca b. r. lwowska Izba rękodzielnicza, tak patrjotycznie i sprawnie spełniająca swoje obowiązki zarówno względem społeczności, jak i względem członków stowarzyszeń rękodzielniczych i wogóle wszystkich tej kategorji obywateli. 25-letni jubileusz przewodnictwa tej instytucji przez p. Józefa Schirmera zgromadził wielu członków Izby rękodzielniczej, cały personal administracyjny, oraz delegatów stowarzyszeń pokrewnych. Zjawili się również liczni i serdecznie witani sympatycy tej instytucji i goście, między innemi prez. Neumann, jako przedstawiciel władz samorządowych, gen. Linde, jako reprezentant armji, dr. Poneth jako delegat Ministerstwa Skarbu i inni.

Wiceprezes Izby p. Pemmer podniósł zasługi prezesa i jego nieocenioną pracę dla dobra stanu rękodzielniczego, przypominając, że czyn tak poważnej miary, jak wzniesienie gmachu Izby rękodzielniczej, którego brak tak dotkliwie odczuwać się dawał jest jego dziełem — nie pierwszem zresztą i zapewne nie ostatniem.

Dokonano również odsłonięcia portretu, który ma zdobić salę obrad Izby, poczem w gorących słowach przemawiali goście, jak p. prez. Neumann — odpowiedział zaś jubilat, dziękując za tak szczere i serdeczne uznanie. Obyśmy jaknajwięcej mogli przeżyć podobnie podniosłych chwil, świadczących najdowodniej, że są i u nas ludzie rzetelnej, gorliwej pracy, płomiennego patrjotyzmu i czynu, który niewątpliwie w szeregach naszych polskich na niwie społecznej pracowników wielu jeszcze szlachetnych znajdzie naśladowców.

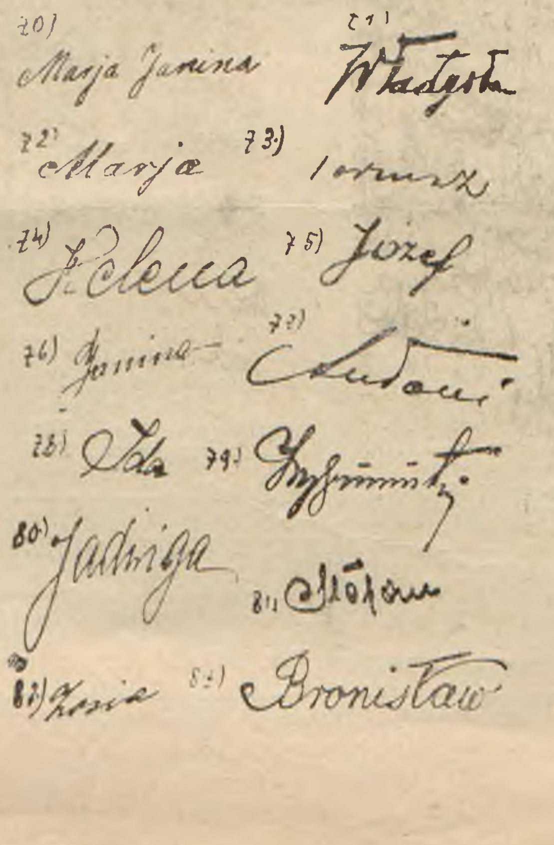
Tajemnica „białej twarzy".

W bieżącym tygodniu ukaże się na filmie krakowskim (naturalnie w teatrze „Uciecha") młodsza, lecz niemniej sławna siostra Normy Talmadge, — Konstancja Talmadge znana z filmów Griffitha, jako „Dziewczę z gór" i bohaterka „Upadku Babilonu".

Ukaże się ona w tym filmie jako białe dziewczę, porwane, ukrywane i wychowana przez chińczyków. Jej białe pochodzenie jest dla niej samej tajemnicą. Sądzi z razu, że jest naprawdę chińskim „uśmiechem poranku" Ming-toy. Mieszka sobie, rośnie i pięknieje w chińskim mieście, przy złym „ojcu" i szesnastu swych siostrzyczkach. Ma cudne oczy, umiejące jednak ciskać gromy błyskawice, nie słucha nikogo, bije, gdy się złości i nie cierpi Buddy. Zetknięcie się z przedstawicielami rasy białej wywołuje w niej zupełny przełom. Zakochuje się w młodym amerykaninie, by tęsknić za nim długo i pod ołtarzem znienawistnego Buddy czyta książki o... miłości. Gdy zły opiekun, nienawidzący uroczego lecz krnąbrnego dziewczęcia, chce je sprzedać jako niewolnicę i już ma dobić targu z bogatym i wstrętnym bankierem chińskim — zjawia się dla Ming-toy wybawienie. Amerykanin powraca i wikła wszystkie plany złośliwych chińczyków.

Film porywa świetną, barwną realizacją; wybornie uchwyconemi typami, zwłaszcza Charle-Yonga; kapitalną grą wszystkich artystów do najdrobniejszej córki malutkich chinek. Constance Talmadge czaruje widza urodą, figlarnością, spojrzeniem. Czaruje, pełna prostoty śliczna i czysta jej miłość.

Dział Grafologiczny



70) **Marja Janina** jest charakterem bardzo delikatnym a nawet przedelikatnionym o znacznej intucji, silnej ale hamowanej namiętności i wielkiej energji a raczej wytrwałości woli.

71) **Władysław** jest typem przesadnego i dziwacznego charakteru. Fantastyczny w pomysłach, brutalny w uczuciach a przecież nie opierający się na świadomych dążnościach — jest to natura nawskróś problematyczna. Tylko objektywne zbadanie grafometryczne pozwoliłoby stwierdzić bliżej istotny ten stan zewnętrzny i wewnętrzny.

72) **Marja** jest naturą prymitywną, niższego pohodzenia. Własną pracą i mozołem walczy ten to charakter o swój wyższy poziom kulturalny opłaca jednak swe zwycięstwo nerwowością i przesadą ogólną.

73) **Tadeusz** wykazuje typ pisma powiększającego się co wzkazuje na zasadniczą naiwność tego charakteru, naiwność modyfikowaną jednaką skłonnością do protekcjonalizmu (przekreślenie górne!) i sztucznością formalną (niemieckie „d"). Wola jest żywiołowa na co wskazuje rzutność graficzna.

74) **Helena** jest typem niewiasty harmonijnego pochodzenia i wyrobienia. Znaczna logiczność intelektu pogłębia wrodzoną potrzebę do działania zewnętrznego, towarzyskiego i społecznego a nie przeszkadza miękim stanom życia czuciowego. Trzeba jednak nadmienić skłonność do rozrzutności i pewną przesadę w sprawach formalnych.

75) **Józef** jest człowiekiem fizycznej przeważnie pracy, o wrodzonej potrzebie życia intelektualnego ale bez wyszkolenia i bez owej niezbędnej glazury zewnętrznej. W każdym razie uwydatniają się znaczne niedodatnie skłonności i instynkty i tylko powrót do swojskiego koła może naprawi co obecnie życie ponad stan zawiniło.

76) **Janina** wykazuje następujące cechy umysłu, uczucia i woli (a są to trzy podstawy wszelkiego charakteru i powodzenia!): Silna logiczność przy równoczesnej jednostronności zainteresowania, znaczna szorstkość ale przecież kulturalność nastrojów i usposobienia jednolitego. Wola skłonna do histerycznej przesady ale niemniej konsekwentna i wytrwała.

77) **Antoni** jest charakterem jednolitym, artystycznym i bardzo czynnym, o naukowych literackich i kierowniczych zdolnościach ale silnie nerwowy, porywczy i skłonny do pedanterji.

78) **Ida** wskazuje graficznie na przeciętny typ charakteru w dodatnim tego słowa znaczeniu: praktyczność umysłu łączy się tu z wrodzoną potrzebą formalnego uwydatnienia się, a wola jest podatna na wpływy pośrednie.

79) **Zygmunt** jest naturą nawskróś sztuczną, jednostronną i pretensjonalną. Arkadowy typ zaogrąglania wskazuje na przewagę pozorow w życiu tego charakteru. Natomiast strona formalna i artystyczna wykazuje bardzo duże wyrobienia istotnego, co owe słabości wewnętrzne znacznie łagodzi.

80) **Jadwiga** należy do panien, żyjących na szeroką stopę i ponad stan. Pozory i potrzeba imponowania zabijają wrodzony jasny umysł a brak istotnego artystycznego wyrobienia doprowadza do szorstkiego giestu bez treści.

81) **Stefan** jest człowiekiem skrytym, skłonnym do nieszczerości ale jest to typ charakteru dzielnego o bardzo miłych formach towarzyskich. Wola jest nieco pretensjonalna ale zasadniczo optymistyczna.

82) **Zosia** jest bardzo miłą, drobną dziewczynką gospodarną ale niezbyt chętną do wysiłków wszelkiego rodzaju, rozumną ale tak słabo szkoloną, że niezbyt... mądrą.

83) **Bronisław** jest młodym, niedoświadczonym człowiekiem, o znacznych zdolnościach intelektualnych, o miękkim sercu i wielkiej wrażliwości słuchowej. Najsłabszą jest wola bo niejednolitą i często przesadną w dążności. *H. Gralski.*

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedleina)